



Mirosław Derecki

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (12) „KONDZIO”

W Konradzie Bielskim siedziało kilku różnych ludzi. Ten wysoki, masywny mężczyzna, właściciel pary wesoło patrzących błękitnych oczu, wielkiego nosa zwisającego nad grubymi, zmysłowymi wargami smakosza i potężnego brzucha, który godnie toczył przed sobą, miał coś z Franca Fiszera, pana Zagłoby i... Rzymianina. Kresowy szlachcic-facjonista, gotów w każdej chwili do bitki i do wypitki, graniczył w nim o miedzą z epikurejczykiem, z wyznawcą filozofii Arystypa z Cyreny, mądry rzymski senator - niegardzący wszakże ucztami u Lukullusa - siedł o lepsze ze staropolskim mężem stanu, u którego „kanclerska głowa”... Z zawodu był „Kandziem” adwokatem, specjalistą od spraw karnych, a z powołania i życiowej kondycji - poetą.

Adolf Rudnicki tak pisał w jednym ze swych kazimierskich wspomnień o Bielskim:

„Kandzio, który zawsze budzi we mnie żal, iż znałem tak mało „starych Polaków”; gęba spaniela, laska z leszczyny lub dębu; wyjeżdżając z Kazimierza zostawia ją w pensjonacie, a sięga po nią natychmiast po powrocie; spodnie według mody sprzed pół wieku; żarłok, który gotów pojechać do Pińczowa na raki, (aby się przekonać, iż wnukowie nie mają pojęcia, z czego słynął dawny Pińczów), który gdy w „Bristolu” zasiądzie do obiadu o godzinie trzeciej, skończy o dziewiątej i uda się wprost do pociągu lubelskiego; gaduła, który rozsiewa perły; poeta; przyjaciel ludzi, odwrotność samotnika czy mizantropa; łacinnik; świetne pióro w prozie (dał cudowną książkę o Lublinie „Most nad czasem”), mój długoletni towarzysz włóczęgi po kazimierskich szlakach, któremu nie mogę darować, iż nie spisuje tego, co opowiada, nie mogę też darować tym młodym głupcom, którzy obojętnie przechodzą obok złota.

Konrad Bielski napisał w życiu niewiele. Zapowiadający się w młodości na doskonałego poetę, przyjaciel Józefa Czechowicza, współzałożyciel lubelskich awangardowych pism literackich, „Lucifera” i „Reflektora”, autor „Dytyrambu szatańskiego”, wiersza, który w swoim czasie narobił wiele zamętu nie tylko w Lublinie, autor nie mniej „obrazoburczego”, co „Dytyramb” stwierdzenia na łamach „Reflektora”: „Przekreślamy spuściznę duchową Słowackiego. Zjadaczy chleba w mordę bić, jeśli ich w aniołów przerobić nie można” - otóż ten niezwykle, szokujący młodzieniec złamał nagle pióro i zagrzebał się w

wielce prowincjonalnym Krasnymstawie, gdzie otworzył kancelarię adwokacką. To właśnie w owych czasach wołał tęsknie do niego Józef Czechowicz:

*A witajże nam, witaj, miły Konradynie,
a żegluj do kompanów po tym krasnym winie,
bo wiadomo powszechnie, że w śnie czy na jawie,
przebijasz w niedalekim Krasnym wina stawie.*

Od trunków „Kandzio” nigdy nie stronił. Przeciwnie, darzył je gorącą miłością i im to poświęcił „Odę”, w której nie tylko z kunsztem literackim, lecz również ze znawstwem smakosza omawia różne rodzaje alkoholi i przeżycia związane z ich spożywaniem.

Do pisania wrócił Bielski dopiero w dwadzieścia lat później, już w czasach powojennych, w Lublinie. Pierwszy tomik poetycki wydał, gdy liczył lat pięćdziesiąt. Następnie ukazały się dwa czy trzy tomiki zawierające wiersze napisane przed wojną. W 1963 r. wyszła wspomnieniowa książka „Most nad czasem” o lubelskim środowisku artystycznym lat dwudziestych, za nią - tomik wspomnień „Spotkania z Kazimierzem” i wreszcie, niedługo przed śmiercią autora, „Tajemnica kawiarni „U Aktorów” - książka powstała w oparciu o doświadczenia i wspomnienia prawnika-adwokata.

„Kandzio” należał do tego gatunku pisarzy, którzy nie tyle przelewają swe myśli na papier, co roztaczają wokół siebie jakąś niezwykłą, niepowtarzalną aurę literacką, wpływającą w sposób ożywczy i stymulujący na całe środowisko artystyczne. I słusznie pisała Ewa Łoś w katalogu wystawy zorganizowanej w dziesięciolecie śmierci Konrada Bielskiego przez Muzeum J. Czechowicza w Lublinie: „Autorytet, jakim pisarz cieszył się w środowisku, nie był [...] prostą pochodną obfitości i wagi dorobku. Wypływał raczej z jego działalności pozaliterackiej, a po części i wiążącej się z nimi tradycji, której sam był niegdyś współtwórcą. [...] Bez gawędziarskich wspomnień i młodzieńczych uniesień poetyckich Konrada Bielskiego lubelska literatura i kultura byłby znacznie uboższe – o wiedzę o niepowtarzalnym klimacie Lublina lat międzywojennych”.

Kiedy ja zdomowiłem się w „Kamieniu”, Konrad Bielski zbliżał się już wielkimi krokami do wieku emerytalnego i jedną po drugiej oddawał, młodszym od siebie, pełnione dotąd funkcje: przewodniczącego Komisji Kultury WRN, dziekana lubelskiej Rady Adwokackiej, prezesa Lubelskiego Oddziału ZLP. Tkwił natomiast nadal i aktywnie działał w radzie programowo-wydawniczej Wydawnictwa Lubelskiego, do którego powstania przyłożył rękę jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych. Nie brał już tak wielu, jak dawniej, spraw w zespole adwokackim. Albo też cedował je chętnie na aplikujących u niego młodych, zdolnych prawników. Teraz zajmowało go głównie pisanie „Mostu nad czasem”, którego obszernie fragmenty ukazywały się w kolejnych numerach „Kamienia”.

Oddawał się również z lubością redakcyjnemu życiu towarzyskiemu, które w owych latach krzewiło się bujnie w starym lokalu naszego pisma, przy ul. Granicznej 7. Na wspólnie i gromadnie obchodzonych imieninach, urodzinach i bibkach gastronomiczno-alkoholowych, których przygotowaniem zajmowała się sekretarka, nieoceniona Olga Gajewska, „Kandzio” rozkwitał jak krzak piwonii, sypiąc wokoło perłami dowcipu, recytując wiersze poetów polskich, rosyjskich i łacińskich, posługując się równie łatwo językiem znad Wisły, jak i tym znad Wołgi czy znad Tybru. Łacina nigdy nie była w ustach „Kondzia” językiem „martwym”, mówił nią jakby od niechcienia, po prostu i w sposób oczywisty. Również we wznoszeniu toastów, a następnie – gdy już się wszystkim ze łbów nieźle kurzyło – w opowiadaniu „męskich” dowcipów, „Kondzio” niepodzielnie „brał pierwsze miejsce za stołem”. Rzecz ciekawa: nawet najbardziej pieprzne kawały i nieprawdopodobne w swej dosadności „parafrazy” wierszy Puszkina lub Lermontowa w ustach Bielskiego nie brzmiały wulgarnie. Zachwycały dobitnością, celnością metafory, wczuciem się w „ducha” języka, w specyfikę narodową i kontekst obyczajowy. Nigdy nie poważylbym się przytoczyć licznych anegdot, które snuł nasz Colas Breugnon nad kielichem wytrawnego wina, szlachtetnego koniaku lub zwykłej siwuchy. Po prostu, tytko Bielski potrafił takim opowiadaniom nadać bezgrzeszną świetlistość...

Natomiast trzeba koniecznie - kiedy już mowa o alkoholu - wspomnieć nieprawdopodobną, właśnie „alkoholową” przygodą, jaka przydarzyła się naszemu Prezesowi w latach wojny. Większość okupacji spędzili Bielscy u stryja pisarza, właściciela apteki w Kraśniku. Częściowo - w obawie przed aresztowaniem, a po trosze także dlatego, że nie mieli po prostu, z czego żyć. Jednak pod koniec okupacji „Kandzio” postanowił wziąć się za interesy. Poza adwokaturną i poezją znał się najbardziej na napojach wysokowych. Toteż już wkrótce okazał się właścicielem mikroskopijnego lokaliku z wyszynkiem, usytuowanego przy ulicy Narutowicza w Lublinie i noszącego dźwięczną i wielce obiecującą nazwą „Kropelka”. Właściciel przybytku urzędował za szynkwasem, a pieczę nad magazynem sprawowała żelazną ręką pani Bielska, jako że „Kropelce” bezustannie groziło bankructwo: małżonek zwykł był serwować trunki swym licznyim przyjaciołom - gratisowo.

„Pewnego jesiennego wieczoru, tuż przed godziną policyjną - opowiadał nam „Kandzio” - wkroczyło do „Kropelki” dwóch umundurowanych Niemców. Żona już wyszła, zostałem sam na gospodarstwie, niedługo miałem zamykać. Tymczasem ci dwaj, wypiwszy jedną butelką, rozochocili się na dobre i zażądali drugiej, a potem trzeciej. Co gorsza, z pijackim uporem przyczepili się do mnie, żebym pił razem z nimi. Wykręcałem się jak mogłem: przecież z hitlerowcami wódki do ust nie wezmę. Sytuacja zaczynała być groźna. Widziałem, że pijani żołnierze zaczynają się domyślać prawdy. Jeszcze chwila i powędruję,

być może, razem z nimi na gestapo. „Pan nie chce z nami pić, bo pan nienawidzi naszego munduru!” - Powiedział wreszcie jeden z nich. Ja zaś poczułem, że mi się jeżą włosy na głowie. „No, to nie ma problemu!” - Zawołał nagle odkrywczco drugi Niemiec. I raptem, jak na komendę, obydwoj rozebrali się „do rosołu”! Do gołego! „A teraz - wypije pan z nami?” - Cóż mogłem uczynić w takiej sytuacji!?”.

Tę przygodę opisał najbliższy przyjaciel Konrada Bielskiego, Waław Gralewski, w książce „Bieg po krawędzi”.

Przyjaźń „Kondzia” z „Waciem” przetrwała kilkadziesiąt lat, choć pod koniec życia ich wzajemne stosunki uległy, z różnych względów, pewnemu ochłodzeniu. Poznali się jeszcze w latach szkolnych. Bielski uczęszczał do Gimnazjum im. Staszica w Lublinie, a Gralewski do „Zamojskiego”. Zbliżyła ich przede wszystkim miłość do poezji, wspólny pociąg do napojów o niewielkiej procentowo zawartości wody, namiętność do biesiadowania i dyskusowania oraz obopólne predyspozycje gawędziarskie. Chociaż gawędziarstwo „Wacia” było bardziej „demonicznej” natury, a „Kandzio” był opowiadaczem serdecznym, dobrotliwym i „pogodzonym ze światem”. W ogóle zresztą, różnili się między sobą bardzo i z wyglądu zewnętrznego, i z usposobienia. Poza tym Gralewski wywodził się z proletariatu. Bielski natomiast był typowym spadkobiercą tradycji zubożałego kresowego ziemiaństwa. Pierwszy, urodził się w Lublinie, drugi przybył tutaj z rodziną ze wschodu, „szlakiem Cezarego Baryki”, w roku 1919. „Wacio” był typem żołnierza i konspiratora, „Kandzio” nosił w swym potężnym ciele łagodną duszę pacyfisty, z wojskiem zetknął się tylko raz, w 1920 r., jako ochotnik, pełniąc służbę w 18 pułku artylerii polowej.

W tymże 1920 r. Konrad Bielski debiutował sonetami na łamach lubelskiego pisma „Młodzież”, które redagował - krótko zresztą - wspólnie z Waławem Gralewskim i Czesławem Bobrowskim. Potem przysły lata studiów - znowu wspólne - na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i wspólna przygoda z „Lucyferem” i „Reflektorem”. Wreszcie - współpraca z redagowanym przez „Wacia” dziennikiem „Express Lubelski”, gdzie Bielski zarabiał pisaniem... recenzji sportowych. Jeszcze później był wspomniany już Krasnystaw i lata bardzo spokojnego, „prowincjonalnego” życia, z częstymi - oczywiście - wypadami do Lublina na literackie biesiadowanie w domu księdza Ludwika Zaleskiego, patrona lubelskich literatów. I z niecodziennym, burzliwym interludium w postaci uczestniczenia, w charakterze obrońcy, w procesie poety Mariana Czuchnowskiego, którego oskarżono o prowadzenie działalności podburzającej przeciwko władzy państwowej.

Ale, na co dzień było tak, jak napisał jeden z przyjaciół:

Bielski gdzieś w Krasnymstawie osiedlił się pono,

Wierszy więcej nie pisze, bo zajął się żoną.

O nim mogłyby odwrotnie powiedzieć Mickiewicza usta:

Że zmarł w nim dawny Konrad – narodził się Gustaw.

A propos - Gustawa: „Kandzio” był bardzo silnie związany ze swoją żoną Krystyną, dawną aktorką teatru „Reduta”, popularnie określaną mianem „pani Uty”. Na starość otaczał tę schorowaną i nierzadko z tego powodu dokuczliwą kobietę najczulszą opieką; on, człowiek pełen rozsadzającego go temperamentu, zachowywał wobec małżonki anielską cierpliwość. Co nie zmieniało wszak jego zwyczajów.

Około południa „Kandzio” wyruszał z domu na codzienny obchód. Najpierw odsiadywał przepisową godzinkę „u Rutkowskiego”, to znaczy w obecnej kawiarni „Lublinianka” przy stoliku, wokół którego grupowali się członkowie lubelskiej palestry. O pierwszej, posapując niczym emerytowana lokomotywa, wkraczał do redakcji „Kameny” i opadał „ostatkiem sił” na najbliższy fotel. „No, co tam słysząc nowego?” - Pytał wzdychając z ukontentowaniem, i w charakterystyczny dla niego sposób, porozumiewawczo mrugając powiekami. Nie czekając na odpowiedź, zaczynał tam jakąś mniej lub bardziej niezwykłą opowieść...

Latem „Kandzio” wyjeżdżał do Kazimierza, zawsze do willi „Floryda”. Nawet wówczas, gdy jej wieloletnia właścicielka umarła i skończyło się tam słynne na pół Polski, doskonale „pensjonatowe” wyżywienie. Nigdy nie zapomnę widoku „Kondzia” krocącego powoli, z Utą u boku, przez kazimierski Rynek. Albo - zjadającego z niezwykłym apetytem jajecznicą z iluś tam jaj przy stoliku w podcieniach, przed nie istniejącym już dzisiaj barem mlecznym „Miś”, prowadzonym nienagannie przez dwie siostry-bliźniaczki. Albo - cudownie mlaskającego nad węgorem w galarecie na werandzie - też już nie istniejącej - kawiarenki pani Tyszkiewiczowej, gdzie grało się także w szachy i jadło świeżutkie jeżyny lub czarne jagody ze śmietaną i z cukrem.

Właśnie na werandzie u p. Tyszkiewiczowej, spoglądając marzycielsko na białe ruiny Zamku i Baszty rysujące się wysoko nad nami na tle szafirowo-farbkowego nieba, „Kandzio” rozsnął pewnego razu przede mną opowieść, zasłyszaną jeszcze w latach dwudziestych od jednego starego kazimierskiego Żyda, o tym, dlaczego król Kazimierz Wielki nie miał dzieci z Esterką.

„Ny! - opowiadał ten Żyd - ny, panie mecenasie. Pan wie, król, to un mieszkał w zamku w Kazimierzu. A Estera, una mieszkała w takim mniejszym zamku, takim całkiem małym sobie zamku, w Bochothnicy. Z Kazimierza do Bochothnicy jest sześć kilometrów. I tam się można dostać dorożką za jedne piętnaście minut. A jak kto nie ma w dorożce kulawy koń, to nawet za jedne głupie dziesięć minut. Ale król, un dorożką nie może jeździć. Un do swojej ukochanej potrzebuje koniecznie iść specjalnym podziemnym korytarzem. Bo tak wypada. Bo

un jest wielki pan, wielki król, un chodzi tylko samymi tajemnymi przejściami... Więc jak zapadał wieczór, to król Kazimierz Wielki otwierał tajemne drzwi i wchodził w tajemny korytarz, i szedł do swojej ukochanej Estery. I un szedł i szedł, i szedł i szedł, i szedł i szedł, ten król. Aż dopiero nad ranem un dochodził do Bochofnicy, gdzie w pięknej sypialni czekała na niego piękna Estera. Ale jak un się - panie mecenasie - koło niej tylko położył, to zaczynało świtać. I król wiedział, że musi zaraz wstać i iść, iść, iść i iść z powrotem, tajemnym przejściem, do Kazimierza. Żeby trafić na czas do swojego wielkiego, wspaniałego zamku na śniadanie. Ny to panie mecenasie! Jak ten nasz biedny król nie tylko musiał ciągle iść, iść, i iść, nie tylko bez przerwy iść, to jak un w takim razie mógł mieć dzieci z Esterą?”

Kazimierz „Kondzia” Bielskiego, Michalaka, Kononowicza i Filipiaka i tylu innych, którzy siadywali na tarasach nie istniejących już dzisiaj kawiarenek i knajpek, na murkach wokół Rynku, przy stolikach przed restauracją starego Berensa, przemianowaną po wojnie na „Esterkę”, ten tak jeszcze niedawny wakacyjny Kazimierz lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych spowija już coraz gęściejsza mgła oddalenia...

Bialscy mieszkali przy ulicy Narutowicza, na drugim piętrze kamienicy, nad apteką, dawną znana apteką Wójcika. Wchodziło się od tyłu, od podwórza. W górę wiodły kręcące się spiralą drewniane, zużyte schody. Samo mieszkanie składało się z długiego, ciemnego korytarza, który prowadził do dwóch położonych w amfiladę, także ciemnowych, pokoi od frontu. Z kuchni i łazienki wiało lodowatym zimnem. Ale ściany tego domu były założone pod sufit książkami, fotele emanowały wygodnym, miękkim ciepłem, a przyjacielsko nastrojony gospodarz podejmował gościa niezawodnym trunkiem. Także - niebanalną rozmowa.

Tam dopiero, u „Kodzia”, przekonałem się, już nieprawda jest, jakoby alkohol, w dużych ilościach wypity, otępiał umysł. Zależy tylko, jak się pije i z kim się pije. Ale gdzie dzisiaj znaleźć takich gospodarzy i takich rozmówców?!

Długotrwała choroba żony, jej nasilająca się coraz bardziej niedołężność, były dla niegdysiejszego autora buntowniczego „Dytyrambu szatańskiego” prawdziwym krzyżem. Lecz gdy nagle Uty zabrakło, zrobiło się jeszcze gorzej. W domu przy Narutowicza stało się jakoś pusto i jeszcze bardziej chłodno. W kryształowej tafli lustra starej rodzinnej toaletki, przywleczonej przed laty przez rodzinę Bielskich z kresów, jako jedyny ocalały mebel ze spalonego domostwa, smutnie odbijał się zawieszony na przeciwległej ścianie portret pięknej Uty, z lat jej młodości.

„Kandzio” coraz bardziej tracił humor. W domu starał się przebywać jak najmniej, chętnie wyjeżdżał do sanatoriów, na zjazdy lub wielodniowe sympozja literackie.

Pewnego czerwcowego dnia 1970 r. siedziałem rano samotnie w redakcji i pisałem reportaż o starej znachorce spod Józefowa Biłgorajskiego, odważnej kobiecie, które w latach pierwszej wojny światowej była frontową sanitariuszką w rosyjskiej armii, a w czasie drugiej wojny kurowała polskich partyzantów w Puszczy Solskiej. Nagle zadzwonił telefon i Leszek Gzella z „Kuriera Lubelskiego” powiedział, że „Kandzio” nie żyje.

Byli razem poprzedniego wieczora na zebraniu bibliofilów w domu dr. Stefana Wojciechowskiego na Czechowie, zjedli tam dobry obiad, porozmawiali o książkach, wypili trochę koniaku. „Kondzio” czuł się znakomicie, jakby odzyskał dawną radość życia.

Potem wracali razem z Leszkiem. Kiedy wysiedli z taksówki i podeszli do bramy domu, „Kondzio” nagle przewrócił się przy progu i już więcej nie odzyskał przytomności.

Nie był stary. Liczył dopiero sześćdziesiąt osiem lat i mógł żyć jeszcze długo. Ale już nie miał, po co żyć. I nie miał dokąd wracać.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 16, s. 8-9.